

MATERIAŁY POMOCNICZE DO ZAKOŃCZENIA

Zakończenie. Walka między upodobaniem a oporem: oczekiwanie Boga, który zebrze o naszą miłość

„Chociaż człowiek mówi nie, chociaż jego odpowiedź jest zawsze nieadekwatna, On [Bóg] nie przestaje go szukać”. (Zakończenie). Cytujemy fragment z książki Mariny Ricci, Govindo. Il Dono di Madre Teresa [Govindo. Dar Matki Teresy]. Po latach oddalenia od Kościoła, w obliczu upodobania okazanego jej przez Siostry Misjonarki Miłosierdzia i małego dziecka, autorka uznaje ze wzruszeniem upodobanie Boga, który nigdy o niej nie zapomniał, i w końcu, ugina się wobec oczywistości będącej oczywistością pewnej historii miłości.

„Upodobanie Boga”*

Od lat już nie chodziłam na Mszę św. Nie był to ani wybór, ani bunt. Powoli jednak, spokojnie i bez żadnego szumu, doszłam do takiego stanu, w którym nie jesteś ani osobą praktykującą ani ateistą. To tak jakbym nagle straciła mowę, nie potrafiłam już rozmawiać z tym Bogiem, którego bardzo kochałam. Nie przypisywałam Mu żadnych win. To nie On mnie zawiódł, ale ludzie. Niestety, tak się to potoczyło. A ponieważ On dobrze wymyślił, aby dla naszego zbawienia stać się człowiekiem, teraz, kiedy zostałam sama bez tych twarzy, które były dla mnie Jego ciałem i Jego krwią, nie wiedziałam już, gdzie Go znaleźć, ani jak „Go praktykować”. [...]

Nie spodziewałam się, nie wierzyłam, że życie może jeszcze zarezerwować dla mnie wielkie niespodzianki, nie miałam o co prosić, nikomu i niczemu nie ufałam. To wszystko było zamknięte we mnie. Ukryte najpierw przed innymi, a potem także przed samą sobą. I dlatego nawet nie płakałam z tego powodu. Siostra Frederick była pierwszym obliczem Boga, które spotkałam po wielu latach.

„Siostrzo”, powiedziała jej po tym, jak opowiedziałam jej o moich niepowodzeniach w Shishu Bhavan, „co jest najlepsze dla tego dziecka? Czy mieć rodzinę, która może się o nie zatroszczyć, z matką w domu i całą resztą, albo w każdym razie, bez takich gwarancji, doznawać miłości jakiejś rodziny?”. [...]

Ona mówiła a ja płakałam. Nie z powodu trudności wyboru. Nie z powodu tego dziecka czy Kalkuty. Płakałam z powodu owej utraconej miłości, którą ona z kolei zdobyła, której się trzymała i dla której owinęła się tym biało-niebieskim sari. Płakałam z mego powodu, z powodu wszelkich oschłości, ambicji i rezygnacji, którymi to właśnie owinęłam moje życie, gipsując je i pozbawiając je oddechu i serca. Teraz siostra Frederick milczała i słuchała.

„Siostrzo, to jest tak, jakby po wielkim oddaleniu, Bóg powiedział: a teraz dość. I wyciągnął ku mnie rękę. Ale z gwałtownością, jakby chwytając mnie za włosy, tu w Kalkucie, pociągając mnie i pozwalając mi utonąć we łzach. Ja Go już dawno temu pozostawiłam, ale o Nim nie zapomniałam. W tych latach oddalenia nigdy nie uczyniłam niczego złego. Może się do niego przybliżałam, ale w ostatniej chwili zawsze coś mnie powstrzymywało”.

Zza szkieł kontaktowych oczy siostry Frederick nie uroniły ani jednej łzy.

„Nie uczyniłaś nigdy niczego złego”, powiedziała, „ponieważ On także bardzo cię ukochał i nie zapomniał o tobie”.

»

* M. Ricci, *Govindo. Il dono di Madre Teresa* [Govindo. Dar Matki Teresy], San Paolo, Cinisello Balsamo (Mi) 2016, ss. 37-41.

» Gdy o tym piszę i to opowiadam, wydaje mi się, że to wszystko banalizuję i boję się, by się nie ośmieszyć. Ale do czego można porównać relację z Bogiem, jeśli nie do historii miłości, do owej palącej pasji, która może doprowadzić nas do robienia szalonych lub niewiarygodnych rzeczy? Jak inaczej można było wytłumaczyć owo biało-niebieskie sari, ów pokój serca pośród nędzy, ową czułość w śmierci, ów jasny blask lśniący w oczach wielu kobiet w ciemnościach Kalkuty? [...]

Zbyt silny był ten ładunek emocji, faktów, zbiegów okoliczności, aby nie poczuć się dziwnie, by nie zapytać samej siebie, czy to wszystko, co się wydarzało było owocem egzaltowanej fantazji czy naprawdę pochodziło z ręki Boga. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się, aby w tak zmaterializowany sposób dostrzec jakąś obecność. Tak gwałtownie, jak gdyby Bóg ukazał mi swoje oblicze przez szkła kontaktowe siostry Frederick, zeszywniałe ramiona dziecka, proch ulic jakiegoś indyjskiego miasta. Ale nadal jeszcze byłam dziennikarką, z zawodu i z temperamentu nawykłą do powątpiewania i weryfikacji. A następnie to, co się wydarzało, raz jeszcze powtórzę, było tak gwałtowne i tak czytelne, że prowadziło nieuchronnie do zapytania siebie, czy to jest prawda. Każdy ma jakąś swoją odpowiedź. Ja musiałam ugiąć się wobec oczywistości.